ŁOWIEC POLSKI



Kanał na Zahordyszczu. Fot. Marja Załęska.

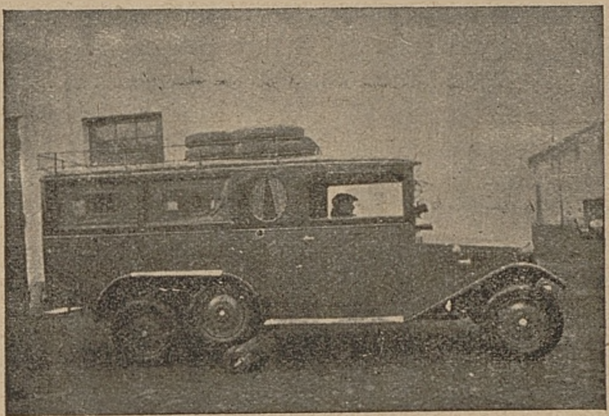
Zdjęcie wyróżnione na konkursie „Łowca Polskiego".

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

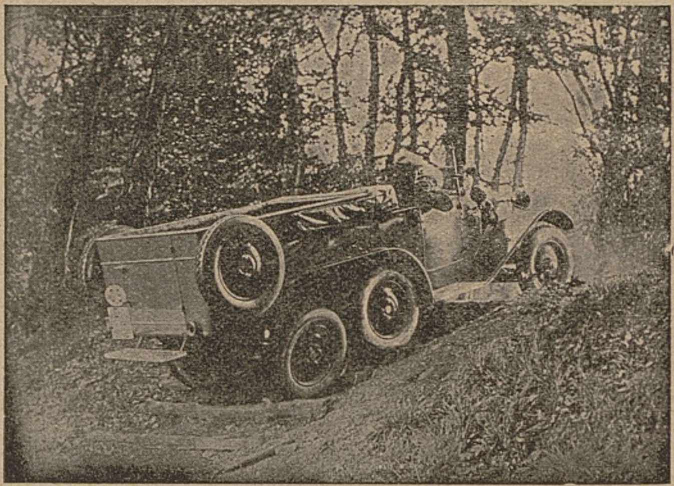
WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 47 (601). 22 LISTOPADA 1930 R.





Myśliwski wóz kryty p. Hrab. Mauryc. Potockiego.



Myśliwski wóz otwarty.



Tadeusz Barański z ubitymi przezeń odyńcami dnia 25 października 1930 w Łukawicy Górnej w Małopolsce. Waga odyńców po 200 klg.

PO ZGONIE Ś. P. STANISŁAWA LILPOPA.

Zwłoki zmarłego przeniesiono z domu żałoby do kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach, gdzie dnia 8 b. m., w sobotę odbyło się nabożeństwo żałobne, poczem ciało wywieziono do Brwinowa.

Zarząd i Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłosiły nekrolog, w którym zaznaczono, że „w Zmarłym polski świat łowiecki traci wybitnego hodowcę - myśliwego i dzielnego organizatora. Cześć pamięci zacnego człowieka i niezmordowanego towarzysza pracy".

Zarząd Instytutu Łowiectwa w nekrologu napisał o swym prezesie: „światły kierownik, wybitny znawca spraw łowieckich, krzewiciel idei prawidłowego łowiectwa w Polsce, niezastąpiony towarzysz pracy". Pozatem zamieściły nekrologi: Rada Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, którego Zmarły był wiceprezesem; współwłaściciele, zarząd i administracja miasta - ogrodu Podkowa Leśna, którego był współzałożycielem; Poleskie Towarzystwo Myśliwskie, którego był założycielem i dożywotnim prezesem honorowym i o którym Towarzystwo napisało, że był „rozmiłowany w przyrodzie, myśliwy - idealista, wierny szermierz w służbie św. Huberta".

Wydział Wyk. Pol. Zw. Stow. Łow. na nadzwycz. posiedzeniu czcząc pamięć zmarłego Swego Przewodniczącego przez powstanie, postanowił złożyć wieniec na trumnie, przesłać kondolencję rodzinie, wziąć in corpore udział w pogrzebie. Jednocześnie ustalono, że od P. Z. S. Ł. wygłosi nad grobem przemówienie Edward hr. Krasiński.

Komitet redakcyjny „Łowca Polskiego" pod przewodnictwem p. Wacława Szperlinga, na posiedzeniu odbytem dn. 6 b. m., uczcił pamięć zmarłego Swego Członka, ofiarując mu wieniec, niezależnie od wieńca władz Związku.

Zmarły osierocił córkę i zięcia, znanego powieściopisarza i poetę, Jarosława Iwaszkiewicza.

Nad grobem w Brwinowie przemawiali pp. Edward hr. Krasiński i Maurycy hr. Potocki, którego mowy żałobnej nie udało nam się niestety, uzyskać do druku.

Mowa żałobna ordynata Edwarda hr. Krasińskiego, wiceprezesa Zarządu Polskiego Związku Stowarz. Łow.

Zawsze smutno jest ogromnie, gdy człowiek opuszcza ziemię, bo pęka jakby ogniwo z łańcucha wspólnych trudów i pracy, — przerywa się, w swej ciągłości, nić wysiłków i solidarności, łączącej ludzi pewnej epoki; cóż dopiero, jeśli człowiek ten był nam z zalet swych blisko znajomy, a dla społeczeństwa pożyteczny.

Od młodych swych lat pamiętałem zawsze ś. p. Stanisława Lilpopa jako namiętnego miłośnika przyrody, bystrego badacza życia i zwyczajów zwierząt nietylko ze stanowiska naukowego (pogłębianego częstem obcowaniem z wielkim przyrodnikiem, ś. p. Janem Sztolcmanem) — ale i z własnego poznania i podziwu dla piękności, różnorodności i bogactwa Bożego stworzenia rozsianego szczodrobliwie po naszych polach, łąkach, kniejach, wodach.

Z rosnącem doświadczeniem objawił się u ś. p. Stanisława Lilpopa wielki zmysł organizacyjny, tkwiący w nim, w praktycznym, w systematycznym, w dokładnym człowieku. — Zrazu w pięknym Brwinowie, potem na większych, dzierżawionych terenach zaprowadzał wzorowe łowiectwa, nieubłaganą ochronę zwierza, otaczając go pieczołowitością podczas ostrych zim, wypowiadając ostrą walkę nietylko kłusownikom, ale także obojętnym lub niechętnym właścicielom, niepomnym własnych z myślistwa korzyści realnych i moralnych, bagatelizującym wartości zwierzostanów jako bogactwa narodowego, nieodczuwającym kultury przyrody. — Łowiectwo w Polsce prowadzone lege artis miało wówczas należytych opiekunów bez mała li tylko we właścicielach wielkich majątków. Jedną z zasług ś. p. Stanisława Lilpopa było to, że zainteresował niem średnią własność, ziemian, zamożne mieszczaństwo i wielki przemysł, do którego sam należał, — organizując spółki na wielkich obszarach dzierżawionych, bądź prywatnych, bądź rządowych. — Jeździł, namawiał, zachęcał, ułatwiał, radził, pomagał.

Z czasem zasłynęły urządzane przez Niego wystawy łowieckie, wystawy psów, zapoczątkowane zostały prace w Towarzystwie Racjonalnego myślistwa, w sprawach wyrobu broni i amunicji, Koła Sportowego Warszawskiego, w szeregu innych spraw związanych z łowiectwem, co dowodziło logiczności tego umysłu stosującego wszystkie, do jednego celu, wysiłki.

A gdy nadeszła godzina Wolności, zabrał się natychmiast ś. p. Stanisław Lilpop, wraz z wyborowem i wybranem kołem współpracowników, z niesłychanym zapałem, z czynnością i znajomością rzeczy, do budowania pierwszej, ogólno-polskiej ustawy łowieckiej, spełniającej już dziś, mimo jej niedopowiedzenia i ograniczenia, zbawienną rolę wychowawczą; która to ustawa, z czasem pogłębiona życiem, stanowić jednak będzie początek ogólniejszej kultury łowieckiej.

Żal nas dziś bierze szczery, że ś. p. Stanisław Lilpop nie zdołał spisywać swych spostrzeżeń myśliwskich, przyrodniczych, zoologicznych, ani utrwalić momentów swych robót organizacyjnych.—Niestety, choroba, męcząc go oddawna, uniemożliwiała mu pracę, wymagającą spokoju i skupienia.

Przemawiając imieniem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, żegnam z rozrzewnieniem zwłoki ś. p. Stanisław Lilpopa, stwierdzając w gorącym żalu, że ubył Związkowi i Krajowi człowiek wielce użyteczny, ofiarny, czynny, — nam myśliwym najmilszy towarzysz, — a rodzinie, której wyrażam najgłębsze współczucie, kochający, czuły sercem i dłonią opiekun.

Lecz w mem przekonaniu nie zginie pierwotna, tyloletnia praca twórcza ś. p. Stanisława Lilpopa. — Praca ta była w naszej dzielnicy jedną z podwalin kultury łowieckiej; przeistacza się ona obecnie, w swej ciągłości, w tysiączne kręgi i przybiera, z postępem, coraz doskonalsze kształty zrzeszeń i kolegialnego działania, gdy dawniej wykonywana była w naszym kraju, tylko przez jednostki.

Niech spoczywa w pokoju!

ED. KRASIŃSKI.

Brwinów.

NA RYKOWISKU.

W tym roku, o parę dni wcześniej ruszyłem w Karpaty, do rewiru, który dzierżawię od Fundacji Skarbkowskiej. 20 września wyjechałem z Warszawy. We Lwowie przesiadłem się do wagonu, idącego do Kołomyi, w którym, ku wielkiej swojej radości, spotkałem mecenasa Bronisława Longchamps ze Lwowa. Poznałem go w roku zeszłym w drodze powrotnej z Karpat; jest to mój sąsiad z rewiru, przemiły towarzysz i świetny myśliwy. Uważałem to spotkanie za szczęśliwy omen. Pan Longchamps jechał wraz z synem Franciszkiem, który po raz pierwszy miał być na rykowisku, a może i spotkać się oko w oko z królem gór.

Na miłej gawędzie zeszła nam droga do Kołomyi, stamtąd zaś, autem już, do Żabiego, gdzie oczekiwał nas z obiadem pan Bronisław Sozański, zarządca lasów Fundacji; rozmowa toczyła się naturalnie tylko o jeleniach. W Żabiem oczekiwał mnie również przewodnik Filipczuk, kapitalny typ hucuła - spryciarza.

22 września rano wyruszyliśmy na wózkach do Burkutu. Nie będę opisywał cudnej drogi wzdłuż brzegów Czeremoszu, pan Łęski bowiem uczynił to już dużo lepiej niżbym ja potrafił, ile że talentu do pióra nie posiadam.

W Burkucie drogi nasze z panem Longchamps rozeszły się, każdy podążył do swego rewiru. Filipczuk, wraz ze służącym moim Jankiem, przeładowali rzeczy z wózka na konie i piechotą już, ruszyliśmy w górę do koliby.

Dobrnęliśmy do niej już o pełnym zmroku. Dochodząc, usłyszałem nagle gdzieś w oddali przejmujący, głęboki ryk jelenia... Kto tam był, zrozumie, jakie uczucie mną owładnęło, gdym usłyszał ten głos, rozdzierający majestatyczną ciszę gór... brzmiący jak hejnał powitalny, jak zwiastun przyszłych rozkoszy. Karpaty niosły mi w dani to wrażenie niby przedsmak nagrody za cały rok oczekiwania i tęsknoty. Mgły zalegały doliny, cienie włóczyły się po skłonach, wygwieżdżone niebo jaśniało nad górską ciszą...

Tymczasem Janek, na szczęście mniej poetycz-

nie usposobiony odemnie, przygotował herbatę i usłał mi na pryczy z derek i siana coś, co mgliście przypominało łóżko. Zmordowany byłem całodzienną drogą, westchnąłem więc tylko do św. Huberta i poszedłem spać z radosną myślą, że jutro wyjdę w rewir.

Aż do soboty 27 września i ja i moi dwaj towarzysze zamieniliśmy się w słuch. Ale ten wymarzony, wyśniony, upragniony nie odezwał się ani razu... Rewir był martwy i głuchy. Ogarniała mnie rozpacz, granicząca z wściekłością, tembardziej, że u moich stóp, w rewirze pana Longchamps, las grzmiał i huczał, ryk odbijał się echem po skłonach, szedł po potokach... Ryczały, „mruczały" stare, tęgie byki, ryczały młode, aż ochrypnięte z zapalczywej ekstazy. Ja to wszystko słyszałem, zrozumiecie koledzy - myśliwi, co się we mnie działo.

Od tego dnia zaczęła się dla mnie prawdziwa bajka z tysiąca i jednej nocy. O świcie byłem już na skraju lasu; cisza, słońce jeszcze nie wzeszło, białe mgły otulają las, nademną turkusowe niebo, cisza... Aż odezwał się gdzieś w oddali głuchy ryk... Idę w kierunku głosu przez karkołomne zwały, idę ciągle w dół. Umilkł... Przystaję, nadsłuchuję... Znów się odezwał. Słońce wytoczyło się już roześmiane, radosne... Dochodzę do skraju zrębu, cisza... Ale gdzieś niedaleko już powinien być; wyczuwam go każdym nerwem. Lecz dalej iść nie sposób, namyślam się co robić, aż nagle tuż nademną ryk potężny, wstrząsający... Chwytam za lornetkę i widzę ciemny kształt ogromnego zwierza, widzę cudownie rozłożone rogi, koronę złożoną z czterech pasemek... Sztucer do ramienia. Lecz co to? Niema nic, czy mnie oczy mylą? Znów biorę lornetkę... patrzę.



Jeleń nad Czeremoszem. Fot. Bron. Longchamps.

W sobotę rano poszedłem do pana Longchamps „z wizytą"; jakże dziwnie brzmi to słowo w Karpatach.

Zastałem tylko pana Franciszka, który nakarmił mnie, napoił i opowiadał o swoich wrażeniach z podchodu jeleni. Ja zaś mówiłem o swem zmartwieniu, bo o niczem innem nie byłem zdolny myśleć. Późno wróciłem do koliby.

Aż tu w niedzielę rano, hucuł przynosi mi list od pana Longchamps, w którym ten zacny i serdeczny człowiek prosi mnie w uprzejmych słowach o wybranie sobie byka w jego rewirze. I cóż na to powiecie panowie myśliwi? Czy znajdzie się taki drugi w Rzeczypospolitej? Sądząc po sobie, twierdzę stanowczo, że to niemożliwe. Trudno mi oddać piórem, com odczuł po przeczytaniu tego listu, jedną tylko rzecz wiedziałem napewno: jelenia — zabiję.

Widać tylko szczyt korony, zaś tułów ukryty gdzieś za trawami, strzał niemożliwy... a tu serce wali, ręce drżą... I wszystko znikło jak cudny sen.

Wieczorem znowu tam poszedłem, lecz już się nie odezwał. Widocznie czujna i troskliwa łania dostała wiatru i drżąc o życie kochanka, uprowadziła go w bezpieczne miejsce.

Aż nadszedł wreszcie dzień mi przeznaczony, pamiętny dzień 30 września. Poszedłem o świcie na skraj lasu i połoniny, stanąłem, czekając na odzew mocarza, który dumnie i groźnie wyzywa rywala na „udeptaną ziemię", lub równie dumnie i równie groźnie daje znać o sobie wybranej kochance.

Odezwał się jeden... drugi. Bliziutko i gdzieś, hen w oddali. Zacząłem podchodzić bliższego. Posuwam się, jestem coraz bliżej i bliżej... coraz potężniej, wyraźniej słyszę ryk... Sztucer w pogotowiu. Podnoszę

do oczu lornetkę, ale w tem miejscu, skąd dochodzi głos, widzę tylko poruszający się gwałtownie smerk, o który byk wyciera sobie rogi. Pozatem nie mogę nic dojrzeć i rozpacz chwyta mnie za włosy. Znów parę kroków i nagle... jakiś podmuch wiatru, trzask, tętent, łomot i... cisza. Stało się, poszedł. Tak wiatr i zwały drzew, odwieczni towarzysze, chronią cenne życie karpackiego jelenia.

Wdrapuję się na to miejsce, gdzie ryczał. Znać odciski racic potężnych, smerk odarty z kory...

Po naradzie z Filipczukiem, postanawiamy iść w tę stronę, skąd dochodził ryk drugiego, lecz że narazie się nie odzywa, siadamy i paląc papierosy, gawędzimy pocichu. Nagły ryk postawił mnie na nogi. Znów cicza. Już bez namysłu wspinam się w górę i dochodzę powoli do samego prawie szczytu. Siadam. Ledwo zdążyłem sięgnąć po papierośnicę, tuż nademną zagrzmiał jeleń, aż echo rozniosło po dolinie. Jest tuż, bliziutko... Tak, ale przedemną olbrzymie zwały drzewa, z drugiej zaś strony zajść niepodobna, bo wiatru dostanie.

Sytuacja stawała się tragiczną; miałem jelenia pod nosem, a raczej nad nosem, a nic zrobić mu nie mogłem. Patrzę na Filipczuka, on na mnie... wzrusza ramionami, wygląda jak uosobienie rozpaczy.

Przeżyłem wtedy chwilę istnej męki, opanowałem jednak nerwy. Krótka decyzja, buty z nóg i dalej gramolić się przez zwały.

Jakoś dopomógł mi św. Hubert, że bez złamania nogi ani żadnej gałązki przedostałem się na drugą stronę zapory.

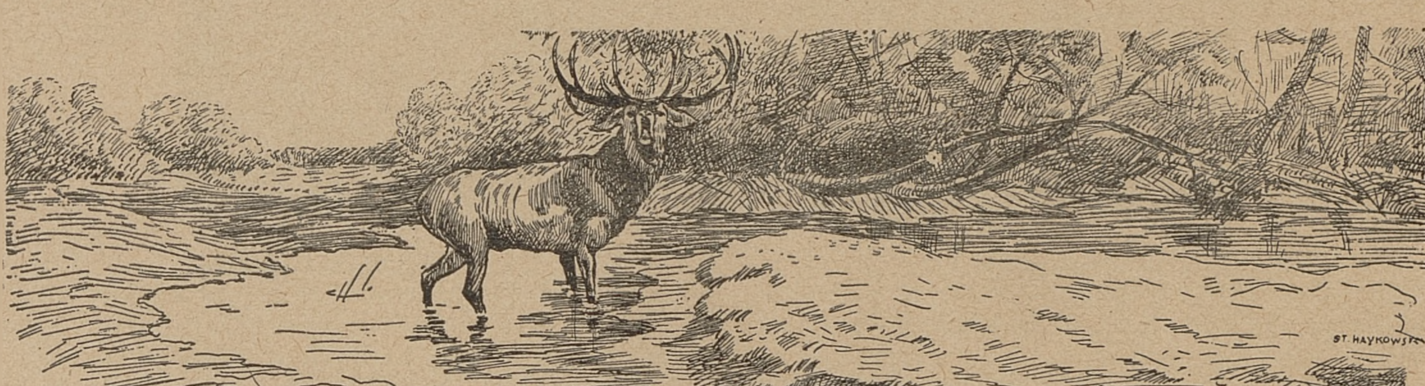
Mam przed sobą zrąb, porośnięty młodą smereczyną i wysoką, gęstą trawą. Jeleń ryczy, aż w uszach dzwoni, lecz go nie widzę. Kładę się na brzuchu i jak kot do myszy, posuwam się na czworakach niesłychanie wolno, przyśpieszając jedynie podczas ryku. Jelenia wciąż nie mogę dojrzeć, podnoszę się więc ostrożnie... Naprawdę niema nic. Naraz pęka mi pod nogą sucha gałązka. Zimny dreszcz zgrozy i jednocześnie prawie robi mi się gorąco z wrażenia, którego opisać nie potrafię. Oto, na jakie 80 mt. z za smereka rycząc — wypada jeleń. Jak urzeczony, patrzę na koronę w szczycie rogów, tulę się do drzewa i pociągam za szneler. Ledwie dosłyszalny trzask, byk przystaje i obraca się do mnie na kulawy sztych. Broń do ramienia... Widzę w lunecie wysoką łopatkę... strzał — i jeleń wali się na krzyż.

I wtedy nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Przewróciłem się i ja z wrażenia.

Nadbiegł Filipczuk, krzycząc „ubytyj". Ucałowałem gorąco tę zarośniętą, od urodzenia pewnie niemytą gębę, — tak drogą mi w tej chwili. A tam, nademną trzask łamanych gałęzi... Nabijam sztucer, zdejmuję lunetę, idziemy. Dochodzę na jakie 30 mt., a mój jeleń wstaje. Strzeliłem z rzutu, jak do zająca, zwalił się niby kłoda. Widzę leżącego u moich stóp, kapitalnego dwunastaka. Ukląkłem wtedy, dziękując św. Hubertowi, że łaską Swoją pozwolił mi ubić pierwszego jelenia w Karpatach.

Kończąc opis swoich wrażeń i przeżyć, muszę raz jeszcze podziękować panu mecenasowi Longchamps za jego wyjątkowo serdeczną uprzejmość, dzięki której przeżyłem piękny dzień i zdobyłem piękny wieniec.

MARJAN LASOCKI.



WSRÓD HUCUŁÓW I JELENI.

(Zob. Nr. 46).

Rzeczy rozwieszone na drągach, unoszą się do góry, od silniejszych podmuchów, dostających się od podwaliny; widzę, jak schnąca koszula Władzia, co chwila unosi się do góry, rozpościera rękawy rozpaczliwie i grożąco, poczem bezwładnie znowu zwisa; obok spodnie stają dęba, fikając nogawicami, jak gimnastyk na reku. Inne drobiazgi, jak owijaki i onuczki hucułów, fruwają niby chorągiewki. Iwan, pilnujący ognia, zbiera to w obawie, aby nie zginęło w płomieniach, i lokuje w pewniejsze miejsca.

Słychać dudnienie zbliżających się coraz więcej, grzmotów, wszystkie szpary ścian i dachu coraz częściej i jaśniej oświecają błyskawice.

Przechodzi nad nami, a raczej jesteśmy już w środku burzliwej chmury, która dudni, grzmi i strzela piorunami, błyskając co chwila jasnością i uderzając wichrem w nasze schronisko; chłodno robi się nie na żarty, wiatr wypędza ciepło, jakie daje watra, i wdziera się nam do łóżek.

Iwan, kucnąwszy przy ogniu, rozpala, często ga-

snącą fajkę, pchając do niej zgóry, żarzący się koniec patyka; skruszone węgielki dopycha kijem, zamyka wieko fajki, a pociągnąwszy parę razy obficie dymu — spluwa umiejętnie, nie wyjmując z ust cybucha i krząta się dalej po stai; słychać tylko syczący gulgot w fajce za każdem pociągnięciem dymu. Okrywa starannie nas i śpiących towarzyszy, odgarnia siano dalej od ogniska i znowu kuca przy ogniu. Przy silniejszym podmuchu wiatru, podnosi głowę, patrząc pod dach, gdzie lekki trzask słychać. Widząc, że nie śpię, Iwan oznajmia, że „witer buntujetsia, no staja wytrzymuje, bo zroblena fajno i modno" (co znaczy dobrze, solidnie i nowocześnie).

Znowu, po silnem uderzeniu fali wiatru w domek, trzasło coś w górze i skrzypnęło, ale upewniam się co do wytrzymałości; pomimo licznych szpar rozeschniętego drzewa, domek zbudowany jest mocno: okrąglaki całe, powiązane w węgieł, dach solidnie zmocowany, nie grozi runięciem; widzę, że Iwan czuwa nad ogniem i całością fruwających na drągu rzeczy.

Wyspany w dzień, nie mogłem spać twardo, tak, jak to się śpi w górach po większych spacerach; co chwila otwieram oczy.

Iwan wygląda na dwór, a zapytany, czy deszcz pada, odpowiada, że „dużo mało" (nie wielki).

Tak chwilami drzemiąc, to znowu budząc się, przeleżałem do rana i wcześniej, niż inni, wstałem, pragnąc rozgrzać się trochę herbatą.

Zaczęło świtać; wstają powoli wszyscy, grzejąc się przy ogniu. Opowiadamy wrażenia nocne, wyglądając co chwila, czy się wypogadza.

Władzio, po przemoczeniu i chłodnej nocy, nagrzewając na zmianę członki swe nad ogniem, przybiera rozmaite pozy, a kiedy siadając prawie nad ogniskiem, nagrzewał się tak chwilę, Iwan radził, aby tego zaniechał, gdyż skutkiem możliwego wypadku w tej pozycji „żinka może szkodowati". Wogóle Iwan dbał nietylko o nas, ale i o stosunki nasze rodzinne.

Wicher dmie jeszcze dosyć mroźny, słońce jednak już się pokazuje. O 9-ej drugie śniadanie solidniejsze.

Od Witolda jeszcze żadnej wiadomości nie otrzymaliśmy, zamierzamy odwiedzić go którego dnia, tymczasem wybieramy się na spacer, zwiedzając okopy, mogiły, zbierając rydze i jarzyny.

Wśród stada owiec, rozsypanych po połoninie ruszającemi się centkami białemi i czarnemi, dobywa się melodja jakaś, wygrywana na fujarce przez pastucha. Ma ona ten sam charakter, co i inne, słyszane już poprzednio: monotonne, niewyszukane pierwociny melodji.

Przypuszczam, że przed 100 laty i dawniej może, były one te same i dotąd nie zostały urozmaicone i wzbogacone w żywsze i skoczniejsze zwroty i pozostały dzikiemi i pierwotnemi.

Właściwie melodji trudno tu uchwycić, są to szeregi tonów, przypominające się nawzajem, urozmaicone tylko indywidualnym układem wykonawcy.

Po powrocie ze spaceru, obiad wystawny z racji ocalenia nocnego.

Potem położyliśmy się, aby zdrzemnąć, po niewyspanej nocy.

Chłopiec, który przyszedł z koniem i rzeczami Władzia, popasa jeszcze konia i sam wypoczywa przy ogniu. Miłej jest powierzchowności, w wieku 12 — 14 lat. Widzę, jak się rozgląda; myśląc, że śpimy, przysuwa się na czworakach do ognia, wyjmuje cienki kawał drzewa i wywija nim w powietrzu, bawiąc się wężowatymi ruchami żarzącego się końca, za którym pozostają smugi dymu. Spojrzał w naszą stronę badawczo, grzebie pod ogniskiem, wyjmuje parę pieczonych kartofli i rozglądając się trwożnie, chowa je do torby swej, „besaka", pewnie na drogę. a tyleż surowych kartofli z gromadki leżącej obok, kładzie na ich miejsce.

Wszystko to robi, często spoglądając w naszą stronę; czołga się do ściany, gdzie wiszą nasze bronie, i nie dotykając, wsparty rękami o ziemię, przygląda się im z zajęciem, kręcąc głową, jak kot.

Zauważył pod stołem coś ciekawego, pełznie na czworakach, podnosi woskowany papierek od herbatników, ogląda ciekawie, odkleja kolorową pieczątkę, chowa do torby, a papier próbuje palić, drąc po kawałku. Robi wrażenie, że bawi się znakomicie, a nikt mu nie przeszkadza.

Kiedy nadszedł Iwan z zapasem drzewa, chłopiec uznał chwilę tę za odpowiednią do pożegnania się, odwiązał konia i poprowadził go do domu.



Makowiej nie wrócił jeszcze, wysłany na odległe podsłuchy, więc we dwóch z Władziem idziemy, a Wasyl i Michajło wychodzą na dalszy teren na noc już i na ranek; wracają jutro.

Następnego dnia nadszedł Makowiej z dalszej wyprawy, a że wstępował po drodze do swego domu, zaopatrzony jest przez „żinkę" w rozmaite smakołyki: słonina, ser, chleb, właściwie placek z grzybami i cebulą, oraz przyniósł wiązankę czosnku, nadzwyczajnie udałego, bo „zubki" bardzo kształtne i smaczne.

Pozatem wrócił ubrany w świeżą, piękną koszulę.

Idziemy dziś z Władziem i Makowiejem głębiej w las, niżej nad Probinę, tam mamy również słyszeć dobrze, a przytem „penetrowati" weksle.

Umieszczamy się w ładnem, zacisznem miejscu, rozmawiając szeptem o spotkanych śladach, z których wnosimy, że jelenie są, ale przeważnie byki.

Nagle za sobą słyszymy ruch jakiś w lesie, gdzie niema ścieżki. Ostrożnie wpatrujemy się, co to być może; sztucery gotowe do strzału, zbliża się coś śmiało do nas; milcząc, spoglądamy po sobie i Makowiej najpierw spostrzegłszy, mówi już bez ostrożności: „To figuranty".

Figurantami nazywają tu wszystkich, którzy pracują przy wytykaniu linij, dzielących oddziały lasu; dwóch ludzi staje zdumionych również naszym widokiem, gdyż jest to miejsce, gdzie nigdy może człowiek nie zagląda.

Wystraszeni trzymają w ręku kubły z farbą i pędzle. Przekonawszy się, że nic im nie grozi, podchodzą, witają się, objaśniają swoje czynności: malują oni kamienie na kopcach, po granicach oddziałów.

Udzielają nam trochę wiadomości ze swoich spostrzeżeń, związanych z rykowiskiem.

Na Ozirnem, skąd idą, słyszeli ryczącego jelenia, „a po dwóch striłach" przestał ryczeć, „widno rabszicy", żadnych „paniw nie wedali".

Zapaliwszy papierosy, poszli dalej, roznosić zapach farby po lesie, a my postanawiamy jutro udać się do schroniska, na Ozirne, licząc, że Witolda tam znajdziemy i dowiemy się, co tam słychać i co znaczyły te dwa strzały.

Zdawało mi się, że słyszę gdzieś z oddali jelenia, ale po dłuższem słuchaniu nie powtórzyło się nic, więc doczekawszy się mroku, udaliśmy się w stronę domu, ubolewając po drodze, że nietylko wilki, ale i figuranty muszą ujemnie wpływać na spokój potrzebny przed i w czasie rykowiska.

Po wczesnej kolacji, wcześnie idziemy spać, obiecując sobie rano wyruszyć na Ozirne.

Nazajutrz, jeszcze szaro, jesteśmy już na połoninie, szron chrzęści pod stopami; dzień zapowiada się pogodny; jakby resztki chmurek, pasami unoszą się wdal, oczyszczając widok rozległy. W dolinie Szykman, stożkowatą górę „Krugła" widać dziś wyraźnie: odcina się na tle nieba i dalszych konturów sąsiednich wzgórz, lekko przysłoniętych fijołkowemi mgłami, w formie prawidłowego stożka.

Kiedy w tę stronę szedłem, zawsze widok tej góry, jakby sztucznie usypanego kopca, zatrzymywał dłużej wzrok mój.

Po przejściu połoniny, zapuszczamy się w las; schodząc ścieżkami coraz niżej, doszliśmy do Probiny, której brzegiem posuwaliśmy sie aż za miejsce, gdzie wpada do niej potok Ozirnyj. Dalej płajem do góry, potem grzbietem dość ostrym i urwistym idziemy już poziomo, znaczna część drogi, a pod koniec stale domeczamy się pod górę, na której niedaleko już schronisko.

Po drodze stajemy nagle, podnosząc jednocześnie głowy do góry, węszymy jak wyżły; porozumiewawczo spoglądamy po sobie i jednocześnie szepczemy: „jelenie", czujemy woń, często spotykaną podczas rykowiska; nic dziwnego, tropów w tych miejscach wiele więc niedawno być tu musiały; zapach ten dowodzi, że rykowisko, na dobre zacząć się musi.

Dalej stąpamy po wojennych schodach, na których już tylko zgniłe kawałki drzewa leżą bezładnie, utrudniając stąpanie, gdyż są śliskie i chwiejne; trzeba ostrożnie wybrać miejsce, gdzie stopę postawić, aby ciężar ciała podnieść śmiało wyżej, sięgając drugą nogą na wyższy stopień.

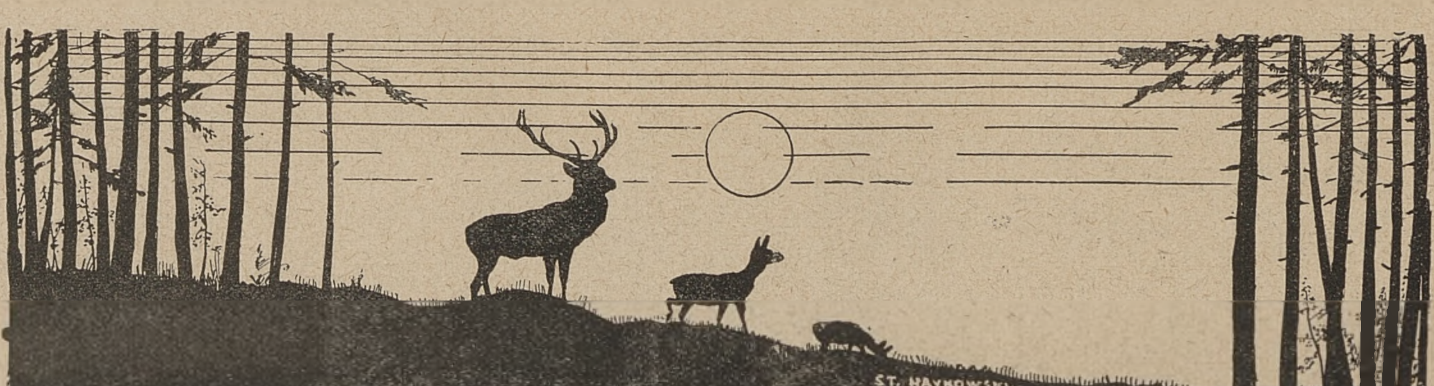
Jesteśmy już u szczytu i aby znaleźć się na miejscu, śpieszymy już nieco z górki w stronę świecących się wśród zieleni, ścian miłego domku.

Jest Witold, czy niema go w domu?

Wchodzimy; miny nam rzedną, gdyż nietylko go niema, ale już nie będzie, objaśnia nas watrak, pozostawiony przy zapakowanych już rzeczach, Oczekuje na konia, który ma nadejść po te rzeczy, wysłany ze stai Koczer-hana, gdzie udał się Witold.

Nie wiele mamy z sobą żywności, licząc na gościnne przyjęcie; chętnie przekąsilibyśmy coś po 3-godzinnej przechadzce.

W plecaku Witolda znajdujemy pudełko sardynek, które wyjadamy łącznie z naszymi zapasami.



Zostawiamy list pisany na papierze używanym nie do pisania listów i po 2-godzinnym wypoczynku zabieramy się do powrotu.

Dowiedzieliśmy się od watraka, że jelenie słabo jeszcze ryczały, a „pan" poszedł na Łukawicę i Pochreptynę zbadać, co tam słychać.

Wilki są: widział spokojnie stojące nad potokiem 3 sztuki, przypatrujące się mu, kiedy przyszedł brać suche drzewo.

Zapytany o owe 2 strzały, które były tu słyszane, odpowiadał nam bardzo niejasno i wymijająco, więc zostawiliśmy wyjaśnienie sprawy na potem.

Wracamy inną drogą; odrazu zeszedłszy nad potok i ścieżkę, posuwamy się, badając po drodze ślady wilków i jeleni.

Makowiej namawia Władzia i skręcają na „zrub", aby tam „spenetrowati". A ja, trzymając się ścieżki, idę sam; mamy spotkać się w umówionem miejscu, gdzie zejdą oni z góry na potok.

Dobrze, że uprzedził mnie Makowiej, iż ścieżka moja przeprowadzi mnie przez potok 3 razy.

Usilnie starałem się nie zgubić jej, przez wstyd, bo nie jestem przecież nowicjuszem w górach. A miejscami właśnie ścieżka ginęła mi nad wodą w kamienistym terenie, wtedy dostawałem się rozmaitymi sposobami na drugą stronę i odszukiwałem śladów już na leśnym gruncie, dalej od łożyska potoku.

Tym razem zbłądzić nie mogłem, trzymając się potoku, ale biada mi, jeżelibym bez ścieżki iść musiał. Jest to sport, który zmuszony byłem, niestety, parę razy odbyć. Udało mi się przejść potok trzy razy, skacząc przeważnie po wystających kamieniach, we wszystkie strony rzucając się, nie wyłączając i skoków w tył, gdyż w jednem miejscu przed sobą nie znalazłem miejsca do skoku dalej, więc trzeba było parę skoków cofnąć się i skierować po innych, przeważnie ruszających się kamieniach. Skoki te muszą dość szybko następować po sobie, gdyż miejsca niema, ani czasu, aby zatrzymać się w równowadze na jednej nodze, szczególniej rozpędziwszy się już rzutami skoków.

Szczęśliwie również, nie zgubiłem ścieżki i dość wygodnie doszedłem do umówionego miejsca, gdzie wkrótce doczekałem się widoku barwnej postaci Makowieja i smagłej sylwetki Władzia schodzących między drzewami do drogi.

Odtąd pod górę idziemy już razem, znajomą dróżką. Daje się odczuwać zmęczenie, a na myśl, że tak daleką pod górę mamy drogę, ogarnia nas przerażenie.

Opowiedziawszy sobie wrażenia ostatnie, milcząc już, pchamy się pod górę, gryząc tylko złośliwie gumę, jako pozostałość słodyczy cukierka, w jaki był zaopatrzony Władzio — specjalista od delikatesów gumowych.

Zbliżając się do połoniny, las mamy coraz rzadszy i mniejszy. Przy ścieżce znajdujemy ślicznego rydza, rozglądamy się — widać ich więcej; wszystkie, choć niektóre zadziwiająco duże, zdrowe i nierobaczywe. W rękach nam się nie mieszczą, a że bezspornie pragniemy zabrać je, więc z gołą głową idę już do domu, niosąc w kapeluszu, pełno, sterczących w górę, czerwonych krążków, które mają być urozmaiceniem naszego menu.

Po połoninie, zmęczeni, wolno posuwamy się, biadając, że jeszcze tak daleko, choć za 20 minut jesteśmy już na miejscu.

Czas na obiad, więc zabieramy się do czyszczenia i krajania rydzów.

Władzio postanawia podać rydze duszone.

Pomimo rozrzutnego usuwania mniej ładnych cząstek, tworzy się stos, wystarczający na liczne towarzystwo. Ale potrawa tak się udała, że zjadamy wszystko we 2-ch zaniepokojeni tem tylko, że jeden z hucułów miał wątpliwości, czy są to prawdziwe rydze; po naradzie został przegłosowany przez innych i słusznie, gdyż ryzyko okazało się płonnem, na dowód czego, dotąd żyjemy.

Wyciągnąwszy się, miło odpocząć po spacerze 6-o godzinnym po górach.

Nadszedł Michajło z wiadomością, że na Suchym Gruniu ryczał dziś byk do 8-ej rano.

Przed wieczorem przyszedł posłaniec od Witolda, z kartką wzywającą nas na jutro na g. 8-ą rano. Nadmienia, że zestrzelał ciężko, grubego byka, którego jutro mamy szukać.

Narada — co robić? Władek miał zamiar iść na Suchy Gruń, gdzie ryczy już parę dni niezły byk.

Po wiadomości od Witolda, decydujemy, że trzeba jednak udać się tam, bo obowiązek myśliwski nakazuje dać pomoc w szukaniu postrzałka.

Czeka nas więc jutro, uciążliwszy jeszcze niż dziś, spacer.

Posłaniec ma iść na noc dalej jeszcze i stawić się u Witolda jutro rano. Umawiamy się, żeby oznajmił, iż będziemy na 8-ą godzinę na potoku Michajlewym,



aby oszczędzić sobie marszu pod górę, z której Witoldowi łatwiej zejść do nas na dół, by się na czas stawić.

Mając na widoku jutrzejszy, ranny wymarsz, kładziemy się wcześniej, próbując wyspać się na zapas.

Iwan pookrywał nas i krzątał się przy swoich zajęciach w chacie, starając się zachowywać jaknajciszej; myślał, że już śpimy obaj; otwierałem często oczy; nie mogąc zasnąć, obserwowałem, do przesady ciche, zachowanie się Iwana.

Wszystko, co przy poruszeniu wydawało głośniejszy hałas, irytowało go i niespokojnie patrzył, czy nas to nie budzi. Kiedy drzwi otwierał ostrożnie, a pomimo to skrzypiały głośno, sadzał palec w zęby, a drugą ręką groził komicznie; pociągając drzwi nieznacznie powoli, aż przecisnął się przez otwór, a wracając z wodą, stawiał kubeł powoli, cichutko kładąc pałąk; stąpał kocim ruchem, drzwi po wielkich trudach unosząc w górę, domknął możliwie najciszej; ale kiedy prowizoryczny haczyk z drutu, stuknął, opadając, Iwan wpadł w cichą furję: wygrażając palcem, mruczał złośliwie i tupnął nogą a choć uderzenie stopy postołem o ziemię nie było głośne, przestraszony przyglądał się nam, czy nas to nie przebudziło:

W ogniu coś głośno trzasło, zbliżył się, kopnął ze złością w płomienie, zsunął kłodę drzewa i tak ułożył, że ogień palił się ciszej.

Nie spałem już, bawiąc się tą obserwacją nadal. W nieodłączną fajkę znowu węgielki wpycha i piszczącemi pociągnięciami ssie z niej kłęby dymu. Władek przewrócił się na drugi bok.

Iwan przygląda się i spostrzegłszy, że dym z ogniska kieruje się trochę w naszą stronę, podpełzł do podwaliny i próbował regulować kierunek dymu, zatykając otwory w jednem miejscu, a odtykając w innem, aż mu się w zupełności ten pomysł udał; uradowany wyciągnął się na sianie, puszczając spokojnie dym z fajki, pykając, spluwając bokiem i nie licząc się z leżącymi obok towarzyszami.

Nie mogąc spać, siadam na łóżku, bliżej ognia, zapalam papierosa; wkrótce budzi się i Władzio i obmyślamy kolację. Głodni nie jesteśmy, więc nie dużo, a smacznej; pyszny boczek wędzony, z domowych zapasów Władzia, z groszkiem zielonym z konserw, przez Władzia smacznie podanym, stanowiły danie na dzisiejszą kolację, a na deser, specjalnie — czysto, przyrządzona porcja kuleszki, której część zjadamy z powidłami, część zostawiamy na zimno, jutro w drogę na popas.

Noc mieliśmy pogodną; spokojnie więc wyspawszy się, przed świtem, po śniadaniu wyruszamy.

Pogoda — cicho, lekkiego mrozu nie odczuwa się: powietrze czyste, więc wyraźnie widać otoczenie, szron bieli cały krajobraz, a dalsze połoniny odcinają się wyraźnie i barwnie na tle czerwieniejącego nieba. Od wschodu skąd wkrótce z nad zieleni ciemnego zagłębienia, jeżącego się lasu w najjaskrawszem miejscu wydobywa się ognista kula słońca, co raz wyżej ona podnosi się, oświetla barwnie miejsca otwarte dla promieni, między któremi cienie szczytów, leżące na lesie tworzą ciemne plamy.

Widok ten, malowniczy, ginie nam prędko, gdyż schodzimy już w dół po zachodnim stoku.

Idziemy w pięciu: prócz Władzia i mnie, Makowiej, Wasyl i Michajło; po za plecakami z żywnością, każdy ma broń, Michajło siekierę, a Wasyl i Makowiej strzelby, przyczem Makowiej piastuje moją strzelbę; już od wczoraj obiecywał sobie, że weźmie „puszkę pana Stasia". Strzelbę-śrutówkę nazywają „puszką", sztucer — karabin.

Zawsze chętnie noszą broń naszą, bardzo uważnie obchodzą się z nią, piastując w ręku i przy każdej sposobności oglądają ciekawie, z zachwytem; przyczem do swoich przewieszonych przez plecy, odnoszą się z pogardą.

Często gdzie możliwe było spotkać wilka, Makowiej prosił o wzięcie mojej strzelby, swoją zostawiał, wtedy był dumny i czuł się pewniej uzbrojonym.

Po zejściu na płaj, do Waturzanki, w umówionem miejscu, przy potoku Michajlewym nie zastaliśmy nikogo. Wprawdzie jest jeszcze wcześnie.

(C. d. n.). ST. LESKI.



Pensjonarze „żółtej karczmy" na próbach.
Fot. Zygm. Tarnowski.

SPRAWOZDANIE SĘDZIÓW

Z PRÓB POLOWYCH PSÓW w DNIU 21 i 22 WRZEŚNIA 1930 r. w WILANOWIE.

Dzięki uprzejmości zarządu dóbr hr. Adama Branickiego, który corocznie zezwala na urządzanie prób polowych na terenie Wilanowa, dżdżysty choć ciepły ranek wrześniowy zgromadził w Wilanowie miłośników psa myśliwskiego z różnych krańców Polski.

Prócz przedstawicieli Rządu w osobach pana dyrektora Dep. Leśnictwa, Miklaszewskiego i oficjalne-

go delegata Min. Rolnictwa oraz Województwa warszawskiego, pana inspektora Śniadeckiego, widzimy sporo sportsmanów z prowincji, między którymi wyróżnia się sylwetka pani Wandy Stelnickiej z Wilna, z dwiema ulubienicami, czarną i biało-żółtą pointerkami.

Z prawdziwą radością należy powitać zainteresowanie Rządu sprawami hodowlanemi i trafny wybór delegata p. Śniadeckiego, który ze sportsmańskiem zajęciem śledził od początku do końca, pomimo przykrej w niedzielę pogody, ruch każdego psa i z sędziowską skrupulatnością zapisywał wszelkie plusy i minusy naszych ulubieńców.

Próby tym razem podzielono na dwie części z oddzielnymi regulaminami: 1) próby psów ras niemieckich, które sądzili pp.: dr. Arendt oraz Aleksander i Herman Knothe, 2) próby psów ras angielskich, w których sędziami byli pp. Stanisław Morzkowski, Bazyli Prychodźko i Jerzy Dylewski.

Obecna jesień, jako b. wczesna ogromnie utrudniła egzamin elewów zarówno im samym jak i sędziom, którzy b. często nie mieli możności określić umiejętności doprowadzania i zachowania się przy ściąganiu.

Kury — nadzwyczaj bystre ,daleko cieknące nie dawały się tak łatwo rozbić, przeczem dość często zauważyć można było skłonności do gromadzenia się oddzielnych stadek w jedno większe.

Konkurs wyznaczono, jak na ten wyjątkowy rok, stanowczo za późno. Niestety, trudności tej w naszych warunkach klimatycznych nie da się uniknąć i na przyszłość.

Wyznaczono tereny cokolwiek za małe i niezupełnie odpowiednie. W zbyt nieznacznych odstępach czasu, po kilka razy wypadało przechodzić te same miejsca, a gdy weźmie się pod uwagę, że prócz sędziów, menerów i oficjalnych członków jury, przechodzą przez pola także i goście w liczbie kilkudziesięciu osób — to rzecz prosta — pracę psów ogromnie utrudnia taki szlak ludzkich śladów.

Skutkiem długotrwałych deszczów łęty kartoflane b. wyrośnięte, zupełnie miejscami zielone, miejscami gnijące tworzyły dla psa teren b. ciężki i to nietylko pod względem zapory w ruchach, ale i pod względem trudności wietrzenia.

Okoliczność ta jest szczególnie nieprzyjazna dla klasy młodzieży mającej pod każdym względem mniej rutyny i mniej siły do prucia piersiami zwartej, grubej naciny.

Dlatego też określenie szybkości i sposobu szukania oraz stylu i piękna pracy było niezmiernie przy niektórych psach trudne.

Brak warunków terenowych jednakowych, dla wszystkich psów, komplikował też osądzenie zalet w większym niż by się to zdawało, stopniu. Niektórym psom wypadał szczęśliwy los okładania ścierniska, zasiewów lub seradeli, — inne z miejsca puszczane były w kartofle, gdzie nie mogły popisać się ani szybkością ani właściwym w innym terenie, stylem.

Do tego wszystkiego należy jeszcze dodać zupełny prawie brak zajęcy, pozbawiający sędziów możności sprawdzenia skłonności do b. częstokroć niebezpiecznych u psa nałogów, i tę nierówność, jaka się wytwarza dzięki okolicznościom, że niektóre psy wystawiają stada, niektórym zaś wypada praca pojedynek.

Sprawdzianem jakości węchu mogłoby być w tym wypadku tylko obliczenie krokami odległości zwietrzonej zwierzyny od stójki, ale przy kuropatwach, ptakach wybitnie wyciekających, i ten atut wypada z ręki sędziowskiej.

W Belgji i Francji, na terenie przeznaczonym do prób polowych, rankiem rozbija się wszystkie stada, puszczając na nie kilku strzelców z psami.

Nie można też pominąć nieodpowiedniego zupełnie poziomu menerów, którzy bądź więcej uwagi zwracają na sędziów i gości niż na prowadzonego pupila, bądź też jak inni, zbytkiem niepotrzebnej brawury i nieuzasadnionej pewności siebie wpychają psy w sytuację dyskwalifikującą, lub też ciągłymi okrzykami „down" (da-un) utrudniają sędziom zada-



Dyr. Depart. Leśn. Miklaszewski na próbach.
Fot. inż. K. Czampe.

nie, odbierając jednocześnie psom możność wykazania wrodzonych zalet.

Pierwszego dnia sądzono najpierw psy niemieckie, następnie klasę młodzieży psów angielskich.

Rasa psów niemieckich na tegorocznych próbach polowych, zorganizowanych przez Warszawskie Tow. Hodowli Psów Myśliwskich, była bardzo nielicznie reprezentowana. Zaledwie dwa okazy zgłosili pp. Tadeusz i Michał Abramowiczowie.

Warszawskie Tow. Hod. Psów Myśliwskich nie było w mocy przeprowadzić próby w/g zwykłych wymagań dla tej rasy, nie posiadając odpowiednich terenów i zadowolniło się częściową próbą t. zw. „psów dowodnych", t. j. brano tylko pracę w polu i aportowanie, pominięto próby pracy 1) za farbą, 2) w lesie, 3) ciętości i 4) pracy w wodzie.

Obydwa próbowane psy, każdy w innej klasie, wykazały b. dobrą tresurę i wysokie zalety wrodzone.

I. „Walda z Hellerau" 3 i pół lat, suka import. Prowadzi właściciel, p. Tadeusz Abramowicz.

Tresura dobra, pracuje ochoczo i z należnym temperamentem.

Otrzymuje ocenę:

Za wiatr na 20 punkt. możliwych	14
za sposób szukania, szybkość i styl pracy na 25 punkt. możl.	20
za wystawianie, ściąganie i doprowadzanie na 15 punkt. możl.	12
za zachowanie się po strzale i wobec zrywającej się zwierzyny na 10 p. możl.	10
za aportowanie na 10 p. możl.	10
za tresurę ogólną na 20 p. możl.	20
Razem punktów	86

II. „Iwan", 14 mies., pies import., prowadzi właściciel p. Michał Abramowicz.

Otrzymuje ocenę:

Za wiatr na 20 punkt. możliwych	16
za sposób szukania, szybkość i styl pracy na 25 punkt. możl.	17
za wystawianie, ściąganie i doprowadzanie na 15 punkt. możl.	12
za zachowanie się po strzale i wobec zrywającej się zwierzyny na 10 p. możl.	10
za aportowanie na 10 p. możl.	0
za tresurę ogólną na 20 p. możl.	20
Razem punktów	75

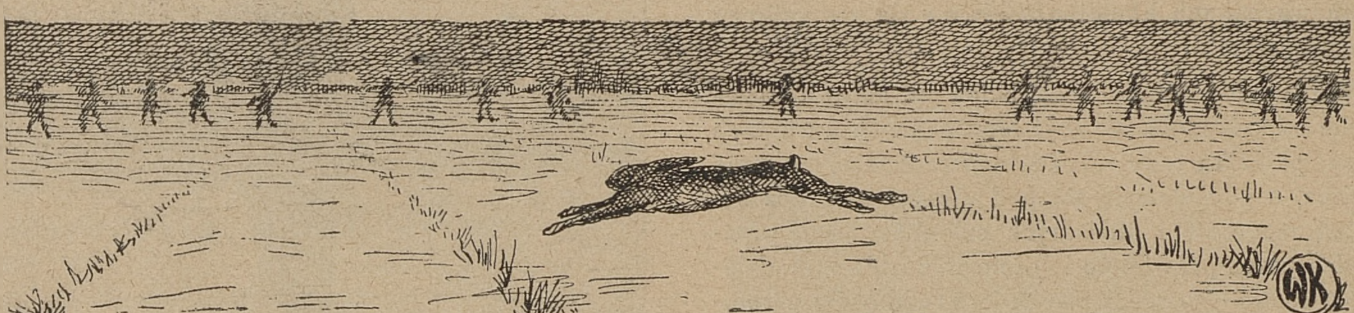
„Iwan" rokuje b. dobrą przyszłość i może być wyrobionym na znakomitego wyżła, brak mu jeszcze szybkich ruchów przy szukaniu, i widocznem było, że jest hamowany przez menera. Pies był zgłoszony jako nieaportujący, co właściwie jest niedopuszczalne, lecz mener nie pozwala psu aportować umyślnie, aby utrzymać go w pełni posłuszeństwa.

„Walda" posiada słabszy wiatr od „Iwana", zato tresura jej w polnej pracy jest pełniejsza. Obydwa te psy są pierwsze w tej rasie, które od czasu wznowienia konkursów po wojnie wykazały znakomitą pracę i przekonały wielu widzów o celowości ich hodowli.

Pracę ich trzeba porównać z dobrymi, roboczymi końmi, w stosunku do ras angielskich, które reprezentują konie wyścigowe.

W kraju brak nam dobrego, hodowlanego materjału tej rasy i trzebaby zainteresować się i dopomóc ludziom dobrej woli, którzyby zachcieli tę rasę hodować, albowiem użyteczność jej i celowość jest b. duża.

(Dok. n.).



JAK PROWADZIĆ PĘDZENIA, BY NIE WYPĘDZAĆ Z TERENU ZAJĘCY.

(Otrzymaliśmy następujące zapytanie, na które zamieszczamy fachową odpowiedź wybitnego myśliwego).

Jako łowczy jednego z kół tutejszych prowadzę wspólne zimowe polowania, a ponieważ jestem nieprzyjacielem „kotła", stosuję przeważnie naganke. Teren nasz (pola 3200 ha) ma w środku miasteczko — granicę terenu, albo łączy się z naszym lasem, albo z terenami niezarejestrowanymi, czyli niedzierżawionymi. Prowadząc polowania, mam na względzie zadowolenie kompanów z dobrych rezultatów, a że jestem myśliwy niedzisiejszy i znam teren, szczególną uwagę zwracam na „wagę" zwierzyny, to też zakłady bywają przeważnie na granice cudze. Z powdu tego prowadzenia spotykają mnie zarzuty, że robię nieprawidłowo, że pędząc na granicę, wypędzam zające z terenu, bo tenże na miejsce swoje nie wraca. Cały świat podobno robi mioty inaczej. Dotąd uczono mnie kiedyś inaczej — wiem, że zając ruszony nawet kilkakrotnie z miejsca lęgu, nawet strzelany, na swoje miejsce powraca; przy polowaniu z ogarami, tenże wraca do miejsca, skąd go psy ruszyły — jedynie wyjątek stanowi samiec podczas późnych parkotów (jak to bywało dawniej w lutym), o ile go psy daleko pognały, może nie powrócić. Takie przekonanie było dawniej, czyżby obecnie i zające zmieniły swoją naturę; i zając wygnany ze swego stałego miejsca pobytu, nie powracał do miejsca urodzenia? Jak więc należy robić zakłady? — *J. Kuszkowski.*

Kwestja, jak należy prowadzić pędzenia, może być tylko czysto teoretyczna, gdyż zawsze muszą być brane pod uwagę właściwości terenu, który nie jest nam bliżej znany.

Zasadniczo kierunek pędzeń powinien być taki, aby zwierzyna, o ile to tylko jest możliwe, była ponownie na własny teren zawracana. Argument, że przy polowaniach z gończymi zając na swe miejsce lęgowe powraca, skąd wniosek, że i przy polowaniach z naganką też powróci, jest błędny w założeniu, gdyż nie uwzględnia różnicy, jaka zachodzi w okolicznościach towarzyszących ucieczce zająca przed psami i przed naganką.

Zając ruszony przez psy, zdaje sobie doskonale sprawę, że ratunkiem dla niego jest nie ucieczka w prostym kierunku, lecz jedynie w zmyleniu pogoni oraz że to zmylenie pogoni nastąpić może nie w czystem polu, gdzie go psy będą goniły „na oko", lecz tylko w lesie, czy zaroślach. Dlatego też zając ruszony przez psy w polu ucieka przedewszystkiem prosto do lasu lub krzaków i tam dopiero zaczyna zataczać koła, przebiegając niejednokrotnie po swych własnych śladach, co psy dezorjentuje, a myśliwemu daje możność dojścia do strzału.

Zupełnie natomiast inaczej zachowuje się zając ruszony przez naganke. W tym wypadku cały dowcip zająca polega na wydostaniu się ze sfery grożącego niebezpieczeństwa, drogą zmylenia uwagi naganiaczy przez przywarowanie lub w ostateczności przez ucieczkę w miejsca bezpieczne, które w najbliższej okolicy są mu dokładnie znane. Tak zazwyczaj zachowują się zające, które się na danym terenie wychowały. Te natomiast, które są mniej z danym terenem obeznane, które wskutek rozmaitych okoliczności znalazły się na nim wypadkowo, po ucieczce na pewien dystans od naganki, zazwyczaj chwilę zastanawiają się nad dalszym swoim ratunkiem, nadsłuchując i rozglądając się po okolicy, czy nie dojrzą gdzieś odpowiedniego dla siebie ukrycia, i w większości wypadków zatrzymują się tak długo, dopóki miejsca takiego nie znajdą, chociażby było ono bardzo odległe. Na jesieni o miejsca takie łatwiej, więc i ucieczka tych przypadkowo znajdujących się zajęcy nie jest zazwyczaj tak daleka, w zimie natomiast, gdy śnieg pola pokryje i kiedy o schronienie trudniej, zające te uciekają czasami bardzo daleko i już zazwyczaj więcej nie wracają.

Opierając się na dotychczasowych obserwacjach czynionych ze znaczonymi zającami, wiadomo, że zające krążą w promieniu kilku kilometrów od ich miejsca lęgowego, o ile nie zajdą jakieś wyjątkowe okoliczności, któreby je zmusiły do opuszczenia czasowo lub na zawsze tego miejsca. W tym ostatnim wypadku stwierdzono, że zające znaczone potrafiły oddalić się od swych miejsc lęgowych nawet na odległość 50 kilometrów.

W związku z powyższemi doświadczeniami, zające znajdujące się na każdym terenie, można podzielić niejako na trzy kategorje, a mianowicie: na takie, których promień krążenia nie wykracza po za granice danego terenu; takie, które granice terenu wielokrotnie częściej lub rzadziej, zależnie od bliskości granicy, przekraczają, i wreszcie na takie, które skutkiem rozmaitych okoliczności dawno porzuciły swe rodzinne strony, tułając się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu spokoju i możliwie najlepszych warunków egzystencji.

Przy polowaniach z naganką pierwsza kategorja zajęcy normalnie zawsze na swe miejsce lęgowe powraca, druga przenosi się na pewien czas lub na stałe na sąsiednie tereny, trzecia zaś zazwyczaj już nie wraca, chyba że tereny, na których znalazła chwilowe schronienie i z których została wypłoszona, szczególnie jej dogadzały.



Punkt obserwacyjny na próbach polowych.
Fot. Zygm. Tarnowski.

Procent zajęcy, które można uważać niejako za stałe na każdym terenie w zależności od obszaru, nie przekracza 30 do 50, i te należy możliwie ochraniać, gdyż zawsze stanowić one będą podstawę dobrego zwierzostanu na przyszłość. Normalnie są to pola lub lasy możliwie daleko od granic położone, z najlepszym zwierzostanem, na których, o ile się poluje, zakłady robić należy na końcu. Na polach natomiast dalej od środka terenu położonych, zarówno jak i przylegających do granic, lepiej jest pędzić od granic w kierunku własnych terenów, idąc nawet tak daleko, żeby na polach, które graniczą z trzech stron z sąsiedniemi, t. j. wrzynają się w nie, robić kociołek. Od tej zasady robi się odstępstwa wtedy tylko, gdy teren obcy, bezpośrednio przylegający, stanowi w danym punkcie jakąś wyjątkową atrakcję dla zajęcy, skłaniając je do przekroczenia granicy i do ucieczki w tym kierunku bez względu na naganke, czy też ogień myśliwych. Wtedy oczywiście należy robić wyjątek od zasady i jedyne, co zrobić wówczas należy, to ustawić wzdłuż granicy możliwie gęsto najlepszych myśliwych.

Wogóle, opolowując granice terenu, pamiętać należy o tem, że te zające, które tam nie zostaną zabite, są więcej niż w 50% nietylko doraźnie, ale i ze względów hodowlanych na przyszłość dla danego terenu stracone, bo albo wyniosą się w dalsze okolice, albo padną zabite na polowaniu u sąsiadów, którzy w wielu wypadkach czekają tylko na ten dzień, kiedy do nich zwierzyna zostanie przepędzona.

S. K.

WOLNA TRYBUNA.

O USTAWĘ ŁOWIECKĄ.

Ustawa łowiecka, niestety, przewiduje zbyt małe kary, a dlaczego — wyjaśnię.

Trzynaście lat jestem leśnikiem. Moją, że tak powiem, specjalnością jest hodowla i fauny i flory; a już pasję mam do tępienia kłusownictwa, uważam bowiem życie leśnika tu u nas w Polsce, za tak samo rozmaite pod względem jakichkolwiek stosunków, jak np. w Meksyku. To też polowanie na ludzi — kłusowników uważam za wspaniały sport i „zaprawę" wyszkolenia dobrego myśliwego — leśnika. Mamy tedy ustawę łowiecką, delegatów, strażników łowieckich, wogóle dużo pisaniny na tematy łowieckie, cóż, kiedy życie zupełnie idzie inaczej, a nie mamy odważnych ludzi, którzyby jasno a dobitnie poprosili o wysłuchanie szczerej i niezawsze wesołej prawdy życia. Dawno już sobie postanowiłem, że muszę nareszcie podzielić się i ja swymi poglądami opartymi o fakty wzięte wprost z życia. Podzielę się teraz właśnie, choć wiem, że będzie to głosem wołającego na puszczy.

A więc wołajmy tedy.

Mamy sądy niezawisłe, czy też niezależne. Rozmawiałem z sędzią sądu pok. w Tomaszowie Maz., wyrażając doń prośbę, aby najbliższe sprawy karne o kłusownictwo zechciał jaknajsurowiej traktować. Odpowiedź p. sędziego Miernika: „ Nie można zbyt surowo tak ludzi karać i stosować najwyższego wymiaru kary". A było to jeszcze przed wydaniem ustawy łowieckiej. Do tego samego tematu powróciłem po wydaniu ustawy łowieckiej i znów otrzymałem tę samą odpowiedź, pocieszałem się jednak tem, że może nareszcie starostwo weźmie wnykarzy i kłusowników za łeb. Niestety, nie. Jak było, tak jest. Stając na sprawach łowieckich, jako oskarżyciel w sądzie, czy meldując we właściwych urzędach o zatrzymywaniu kłusowników, mam zawsze tylko przykre wspomnienia, a jeżeli sprawa moja przedstawia się w ten sposób, że kłusownik został postrzelony przezemnie lub przez moją straż leśną, to mam wrażenie, że to ja właśnie jestem oskarżony, że mnie to prawo ściga, że ja to dybię na niewinne a pobożne duszyczki naszych kłusowników. Jak trudno wtedy dowieść, że strzelaliśmy tylko w obronie swego życia!

W ustawie jest jedno magiczne słowo: „do". To magiczne słowo pozwala właśnie niezależnemu sędziemu tak ferować wyroki o kłusownictwo, aby właśnie „cham złotego rogu nie zgubił".

To samo dzieje się ze sprawami o kradzieże leśne. Mówię kradzieże, choć ustawa delikatnie określa: „defraudacje". Aby broń Boże, czemkolwiek nie urazić, tych, co właśnie potrzebują jeszcze najbardziej przemawiającego elementarza pod postacią bata. To też pomawiajcie mnie panowie o azjatyzm, brak kultury i t. d., i t. d., jednak przekonałem się sam, że tylko terror stosowany u mnie bezwzględnie i z całą świadomością i pasją, dał mi rezultaty takie, jakie dalej przedstawię. Rzecz prosta, dobrałem sobie gajowych, samych „osiłków", no i stosujemy „swoje" ustawy meksykańskie, krótko ferując wyroki na miejscu przestępstwa. Mam tedy spokój w lesie i kłusownictwo coraz rzadsze, nie lubię bowiem tracić czasu w sądach, lub szwędać się po starostwach, a potem po sądach okręgowych. Inna rzecz, że i na nas polują, ale to już tak jest i będzie. Jak który z nas padnie, pociesza nas myśl, że „bracia z pod znaku św. Huberta" zbiorą drogą składek na nasze wdowy złotych 37,05 groszy, co i dużą sumą będzie, boć czytałem niegdyś w „Łowcu Polskim", jak to sami panowie delegaci powiatowi prosili o niepłacenie za egzemplarze „Łowca Polskiego", bo tak wiele wszak trudu ponoszą dla łowiectwa w Polsce.

Śliczne ma również funkcje strażnik łowiecki. Spotyka kłusownika i może go zatrzymać, wylegitymować, zabrać broń i t. d. Jak to zrobi? Przecież kłusownik dobrowolnie nie odda broni. Ustawa powinna wyraźnie określić, jak ma się zachować strażnik łowiecki wobec kłusownika, kiedy ma użyć siły, bo co biedny strażnik zrobi, gdy kłusownik jest konkurentem Nurmiego? Gdy strażnik łowiecki będzie miał prawo użycia broni, wyraźnie w ustawie określone, nie będziemy się starać o postrzelenie amatora cudzej zwierzyny, z przodu. Kłusownik z premedytacją odwraca się do gajowego plecami, by miał świadectwo swej niewinności, a krwiożerczych instynktów strażników. Trudno wszak wybierać na gajowych rekordzistów szybkobiegaczy i to długodystansowców.

Pomimo tych usterek w prawie łowieckiem, najważniejszym przyczynkiem do skutecznej walki z kłusownictwem jest sprawa doboru personelu straży i ich uposażenia. Bo ostatecznie nie każdy kłusownik jest zdecydowanym straceńcem i można go jakoś przyłapać, trzeba jedynie chcieć. A to „chcieć" objawiać się będzie u straży leśnej tylko wtedy, gdy należycie będą uposażeni i będą wiedzieli, że chlebodawca ich dba o nich i sytuuje ich materjalnie najzupełniej dostatecznie. A mybyśmy chcieli wszystko taniutko. A więc powiem, jak jest u nas w lasach Dóbr Tomaszowskich. Gajowy musi być zdrów zupełnie i atletycznej budowy. Najzupełniejsza abstynencja od alkoholu. Raz tylko poczuję, że gajowy wypił choćby jeden kieliszek, wydalam. Sprawdzam przez okres dłuższy lub krótszy, oczywiście indywidualnie, stosunek gajowego do lasu i jego zachowanie się w stosunku do ludności. Żadnych kumostw, żadnych bywań lub świadczeń „sąsiedzkich" nie dopuszczam. Uposażenie gajowy otrzymuje następujące: miesięczna pensja zł. 90.—, mieszkanie (gajówka), mundury letnie i zimowe, opał ad libitum (bez prawa odsprzedaży), 5% od sprzedaży i strzałowe. Stawki strzałowego płacimy: za lisa zł. 5.—, za kunę zł. 5.—, za psa; kota, jastrzębia, tchórza i łasicę po zł. 3.— za wronę zł. 0.50. Skóry należą do gajowych, właściciel może kupić skórę po cenie rynkowej. I z góry określamy minimum miesięcznego strzałowego i 5% od sprzedaży. Minimum strzałowego w stosunku miesięcznym musi wypaść zł. 30.—. Musi! Minimum 5% musi wypaść zł. 20.—. Też musi! Jeśli w stosunku miesięcznym gajowy nie wyrobi owych minimum, likwidujemy z nim stosunek służbowy. A oprócz tego premje. Za

schwytanie kłusownika i odebranie mu broni zł. 100.—. Za wnykarza zł. 50.—. Wyróżniającym się gajowym dajemy premje, oprócz przewidzianych nagród, w postaci jednolampowych odbiorników radjowych. Gajowy nie posiada natomiast ziemi ornej i ordynarji, by nie martwił się, gdy za dużo deszczu lub posucha. Aby zawsze tkwił w lesie. Morga pod okopowe i ogródek wystarczą.

Gajowy musi mieć porządną broń. Każdemu z nich kupuję dubeltówki bezkurkowe, firmy Sauera i próbuję, jak strzela. To też gajowi, posiadając dobrze strzelającą broń, nie demoralizują się, że tak powiem, pod względem opłacalności tępienia szkodników. Strzeli raz i jest 3 złote. Gajowy nabiera zaufania do swej broni, rezultatem czego jest prawie że konkursowe strzelanie. Mam niektórych gajowych strzelających wprost rewelacyjnie. A teraz o rezultatach moich poczynań w tutejszych lasach. Od dnia 1 stycznia 1927 roku do dn. 1 lipca 1930 r. na terenie ok. 1000 ha ubito drapieżników: 63 lisy, 443 psy, 206 kotów, 5 tchórzy, 13 łasic, 192 jastrzębie, 1132 wrony i 79 srok. Sójek nie strzelamy.

W roku 1923 zastałem las — przeważnie halizny po okupantach. Zwierzyny mało. Obecnie sarn mamy paręset, hodujemy daniele w ogrodzonym zwierzyńcu, skąd już w tym roku wypuszczamy na swobodę do lasu 14 sztuk. Nasze tokowiska zaszczycają swymi zjazdami Wysocy Goście z pobliskiej Spały. Dziki również hodujemy w zwierzyńcu, wypuszczając przychówek na swobodę. Zaprowadziliśmy hodowlę bażantów. W r. 1923 podczas zwykłych polowań padało 15 — 20 zajęcy. W r. b. w 3-ch krótkich miotach leśnych, podczas dżdżysto-śnieżnej pogody (13.I) padło 160 zajęcy. Dzików mamy w miocie czasem 20, a czasem czterdzieści parę. Od roku trzyma się u nas byk 12-stak, łania i młode. Właściciel, Jan Krystyn hr. Ostrowski „musiał" w r. b. odstrzelić 18 kapitalnych rogaczy. I odstrzelił. A przedtem? Jeden lub dwa rogaczyki rocznie. To z łowiectwa.

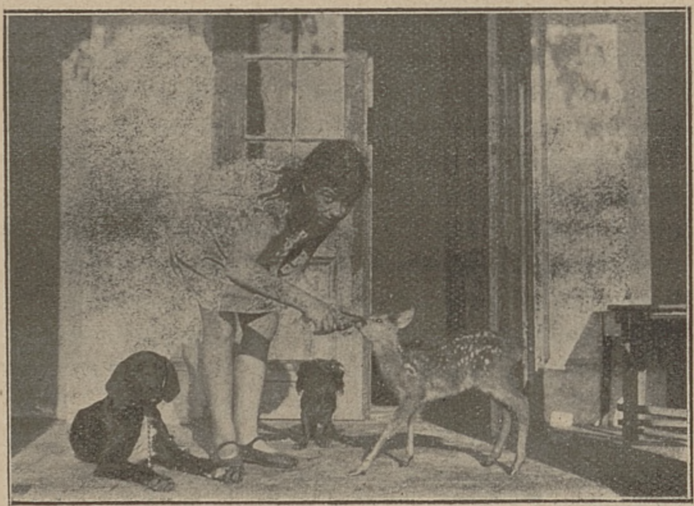
Prosimy obejrzeć nasze szkółki i kultury. Mamy kępy azalji (Azalea pontica) sadzone w lesie, sosnogromy (Sequoia giganteae Well), cedry, cyprysy, cyprysiki, żywotniki, jodły-duglaski 2-ch odmian, srebrne świerki, buki, jodły, jawory i t. d., i t. d., czego dusza zapragnie. A sadzonki sosny pospolitej — sprzedajemy lasom państwowym (!). Bardzo prosimy o odwiedziny, lub służymy fotografjami.

Zapomniałem jeszcze, że mamy kultury modrzewia i to naszego polskiego (Larix polonica). Jest i syberyjski i japoński. Porobiliśmy remizy w polach, obsadzając je żarnowcem i świerkiem. To też kuropatw mnóstwo.

I gospodarujemy tu tak po meksykańsku, martwiąc się, kiedy nareszcie ustawa wyraźnie powie, że za takie to i takie przestępstwo jest taka i taka kara, a nie: grzywną do dwustu zł. i t. d. To nieszczęsne „do" zawsze się stosuje do tego biednego a ukrzywdzonego kłusownika pukającego do litościwego serca pana sędziego czy starosty. Bo nuż ten kłusownik będzie w przyszłości wyborcą, albo zgoła członkiem sejmiku powiatowego? Przecież to i biedne i przez los pokrzywdzone, a w lesie czy w polu bez litości taki suweren zastawia sidła lub strzela siekańcami do zajęcy w maju. A okolica nasza ma przeszłość: Carska, dawniejsza Spała! Tysiące jeleni i dzików pasło się po polach i lasach. Ludność utrzymywała się z uczestnictwa w nagankach i skargami o odszkodowanie za zniszczone plony. No i alkoholizm pierwszorzędny, jak nigdzie! Ciągle nasi kmiotkowie wspominają, jak to było za „ruska". A teraz ino patrzeć, ziemię rozdawać będą, to też jak który głupiego zająca lub sarnę złapie w sidła, lub ustrzeli, to ma być zaraz straszna kara?

Oni swoje i ja też dlatego swoje. To też i na jagody rzadko do nas ludzie ze wsi przychodzą, choć pamiętają moi gajowi zasłyszaną utę w radjo: „kobiety nie bij nawet kwiatem".

I mamy rezultaty, bo je widzimy. Radzimy nie pisać zbyt dużo na tematy o hodowli zwierzyny, a tylko odpowiedniej straży dać jak można, najlepsze uposażenie. Również i przełożonym straży. Bo jakto? Inteligent pozbawia się na okres całego życia przyjemności obcowania z kulturą, bo i chciałoby się to Beatrix Cenci wysłuchać, lub usłyszeć jaką dobrą symfonię patetyczną, lub podyskutować na temat, czy nareszcie znajdą ową kwadraturę koła, albo gdy niema się gotówki na ostatnie wydawnictwa, to choćby przez witrynę wystawową obejrzeć a ucieszyć i duszę i oko. Siedzi sobie taki zatraceniec i dziczeje. I tępieje, nie mając żadnych pięknych podniet do pracy, a płacą mu tyle, aby nie umarł z głodu. A jak dostanie siekańcami od kłusownika, uczczą go w Łowcu P. i zbiorą składke. Wielki honor! A nasza praca jest i we dnie i w nocy. I w święto i w dzień powszedni. Więc płacić! I dbać o strażnika, któremu powierza się nadzór nad olbrzymim częstokroć majątkiem.



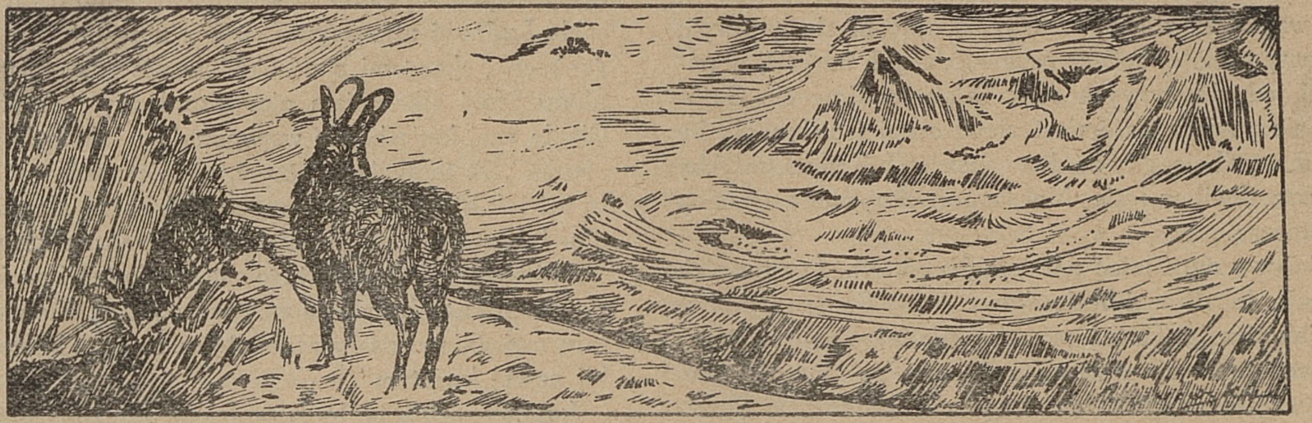
Załączam fotografję koziołka, którego odebrał gajowy chłopu. Karmiła go moja córka i dziś jest duży, a chodzi ze mną przy nodze do lasu, razem z wyżłem.

Jeśliby się który z panów zainteresował naszem gospodarstwem leśnem i łowieckiem, serdecznie zapraszamy, bo moja „ustawa" dała rezultaty.

Z szacunkiem

ANTONI LUBOWICKI (Nadleśny).

Adres: Lasy Dóbr Tomaszowskich Jana Krystyna hr. Ostrowskiego, poczta Ujazd, powiat brzeziński, stacja kolejowa Ujazd.



OCHRONA ŚWISTAKÓW I KOZIC.

W organie Państwowej Ochrony Przyrody dr. Jan Grochmalicki zamieścił obszerną pracę stwierdzającą. że już w roku 1865 przyrodnicy polscy rozpoczęli w Krakowie zabiegi o ochronę kozic i świstaków. Byli to ś. p. M. Nowicki i ks. E. Janota.

Artykuły na ten temat drukowano wtedy w „Czasie" oraz w niemieckim dzienniku krakowskim „Krakauer Zeitung".

W artykułach tych wskazano między innemi, że tępienie świstaków ma swe źródło w przesądzie ludu o własnościach leczniczych tłuszczu świstaczego, a głównymi sprawcami zagłady kozic są „ludzie liczący się do stanów wyższych, z których jedni sami zażarcie na nie polują, drudzy zaś, acz sami nie polują, kupują za drogie pieniądze przez górali ukradkowo czyli po złodziejsku ubijane zwierzęta, albo na własny stół, albo co jeszcze haniebniej, na podarki i tu i tam, chociażby się sarną w obu razach obejść mogli". Autor wskazuje na proboszcza zakopiańskiego (ks. J. Stolarczyka), jako na przykład godny naśladowania, wykazał on bowiem w tym względzie taką wstrzemięźliwość, że wręcz odmówił przyjęcia dzikiej kozy, którą mu przy sposobności wizyty biskupiej przynieść chciano. Dalej omawia autor sposób nieludzki ubijania świstaków i kozic przez świszczarzy i skrytostrzelców, wymienia po nazwisku tych z pośród podhalan, którzy to haniebne rzemiosło uprawiają, i apeluje do duchowieństwa, aby środkami moralnymi i energicznem pouczaniem przywiodło do upamiętania błądzących.

Wydano też wówczas broszurę p. t. „Upomnienie Zakopianów i wszystkich Podhalanów, aby nie tępili świstaków i kóz".

Broszurę te rozesłano do urzędu powiatowego w Nowym Targu, z prośbą o rozdanie jej i polecenie jej treści wójtom gmin, tudzież do urzędu dekanalnego nowotarskiego i wszystkich urzędów parafjalnych na Podhalu, dalej do szkół, właścicieli dóbr i innym. Zwrócono się również, przesyłając broszurę z prośbą o poparcie, do konsystorza biskupiego w Tarnowie; aby zaś akcję szerzej i tem skuteczniej rozwinąć, nie zapomniano o konsystorzu biskupim na Spiżu oraz o urzędach i osobistościach po południowej stronie Tatr. Zarówno u władz duchownych, jak i świeckich, spotkała się broszura z nader życzliwem przyjęciem. Władze duchowne, polecając „Upomnienie" duchowieństwu, wskazywały, że „czytanie takich rozpraw lud do lepszego zdania doprowadzić i złemu zapobiec może". Właściciel Zakopanego, E. Homolacz zaciągnął koziarzów i świszczarzów do służby dworskiej, a odmawiał niepoprawnym zarobku w hucie i kuźnicach. Z inicjatywy zaś dyrektora szkoły w Nowym Targu, L. Sykutowskiego, książeczkę, „po przeczytaniu jej w szkole z uczniami zwyczajnymi i niedzielnymi, rozdano pomiędzy te dzieci, których rodzice mieszkają na wsiach, gdzie się znajdują także tępiciele pomienionych zwierząt, a w dni wolne od szkoły wysłano umyślnie do domu, aby i tam książeczkę tę odczytały, wreszcie polecono dzieciom prosić rodziców, aby odwodzili onych niegodziwców od hańbiącego ich zatrudnienia, a sami sadła świstaczego nie kupowali".

Godziłoby się i obecnie pomyśleć o podobnej agitacji przy pomocy duchowieństwa i szkół w celu walki z kłusownictwem i tępieniem zwierzyny.

CZASY OCHRONNE.

Rozporządzenie wojewody pomorskiego z dnia 7 listopada 1930 r. w sprawie zmiany czasu ochronnego dla zajęcy - szaraków.

Na podstawie art. 51 ust. 2 punkt a) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. Ust. R. P. Nr. 110, poz. 934) oraz rozporządzenia Ministra Rolnictwa z dnia 17 marca 1928 r. (Dz. Ust. R. P. Nr. 45, poz. 448) zarządzam co następuje:

Wykaz czasów ochronnych zwierząt łownych obowiązujący na obszarze Województwa Pomorskiego w r. 1930, ustalony w mojem ogłoszeniu z dnia 16 grudnia 1929 r. w sprawie czasów ochronnych zwierząt łownych (Pom. Dz. Wojew. Nr. 1 ex 1930 r. poz. 1) zmieniam o tyle, że czas ochronny dla zajęcy-szaraków oznaczam na czas od 15 stycznia do 8 listopada.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Wojewoda: **Lamot.**

Kronika myśliwska.

Czy złożyłeś już opłatę na budowę Domu Łowieckiego od zabitej zwierzyny?

—W.— Dnia 23.10 opolowano przy udziale 8 strzelb zagajniki w Marszewie i park w Warszówce z. kaliskiej u pp. Stanisławostwa Wyganowskich (ogó-

łem ok. 250 mórg). Padło królików 1385; bażantów 419; kuropatw 17 i słonek 3 — ogółem sztuk 1824.

Udział w polowaniu brali pp.: Andrzej Potworowski, Jan hr. Taczanowski, Janusz hr. Czarnecki, Józef Radoński, Artur Bonewski, Kazimierz Wodziński, August Łempicki, Murycy hr. Potocki.

— S. G. — W dniu 8 listopada odbyło się doroczne polowanie w majętności Konarzew pow. krotoszyńskiego u p. J. Scheiblera.

Na 9 strzelb ubito ogółem 555 szt. zwierzyny przy deszczowej pogodzie. Największą ilość uzyskał p. K. hr. Bniński. Zważywszy na to, że 4 lata temu przy objęciu majątku przez obecnego właściciela na całym terenie łowieckim ok. 1000 morgów, nie można się było doliczyć 20 sztuk zwierzyny — tegoroczny rezultat dzięki ochronie i racjonalnemu odświeżaniu krwi, całkowicie należy zapisać wytężonej pracy na polu łowieckiem p. J. Scheiblera. Myśliwym cześć.

— L. — Dnia 17 października odbyło się polowanie na pędzone kuropatwy w maj. Dubidze p. Wacława Siemieńskiego. W 10 strzelb zabito 309 kuropatw, 5 królików i lisa. Udział wzięli pp. Janostwo Biedrzyccy, Jan Gerlicz, Jan Koźmian, Wojciech Michalski, Andrzej hr. Morstin, Tadeusz Siemieński, Adam Wielowieyski i Konstanty hr. Zamoyski. Królem polowania był p. Jan Gerlicz, mając na rozkładzie 65 kuropatw i 2 króliki.

— K. — W sobotę dnia 8 listopada b. r. na polowaniu leśnem w Kożuszkowie u p. Jana Pętkowskiego ubito w siedem strzelb bażantów kogutów 402, zajęcy 86, królików 123. Razem 611 sztuk. Najwięcej na rozkładzie miał p. Janusz hr. Czarnecki z Golejewka, 131 szt. Drugim najlepszym był p. Józef Radoński z Żelaskowa 129, trzecim p. Jan Koźmian z Wierzchowisk — 103 sztuki. Pogoda do południa dżdżysta, po południu deszcz.

— L. — Dn. 10 listopada odbyło się polowanie w Jabłonnie. Ubito 166 bażantów, 59 kur, 38 zajęcy, 1 lisa i 2 różne. Bażanty zaprowadzone w r. 1929. Pogoda była dżdżysta z silnym wiatrem, część miotów nad Wisłą zalana wodą z powodu przyboru, przez co naganką trzeba było stale przewozić łodziami.

Wiadomości bieżące.

— **Wiewiórki.** — W lasach powiatu Koneckiego dzięki dwuletniej ochronie, ilościowy stan miłego zwierzątka — wiewiórki — „lasów naszych tanecznicy" na szczęście znacznie się poprawił, a nawet wrócił do stanu z przed wielkiej wojny. Wyjątkowo dużo nawet trafia się okazów o zupełnie ciemnem, prawie czarnem ubarwieniu futerka, a wiewiórki były wytępione już zdawało się, doszczętnie ze szkodą rodzimej fauny. A może hodowla tych polskich popielic byłaby łatwą a dochodową? — **B. J.**

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — Kierownictwo ogrodu zoologicznego postanowiło wypuścić na ogród z ogrodzeń młode sarenki i koziołki, które spacerować będą swobodnie po ogrodzie. Również daniele będą na swobodzie. W zamknięciu zostaną tylko większe jelenie i łanie. Pod adresem osób zwiedzających ogród dyrekcja ma jedną tylko prośbę, aby nie przekarmiać sarenek, zwłaszcza cukierkami, które im bardzo szkodzą.

— **Wypadek na polowaniu.** Z Wilna donoszą: Porucznik 22 baonu KOP, Rackiewicz, jadąc drogą pod Rudziszkami, postrzelił zająca i chcąc go dobić, tak nieostrożnie skierował fuzję, że drugi ładunek wpakował sobie w pierś. Por. Rackiewicza znaleziono w lesie ze słabymi oznakami życia i przewieziono do szpitala wojskowego.

— **Postrzelenie policjanta przez kłusownika.** — Na polach dom. Borków (pow. kaliski) został postrzelony przez kłusowników posterunkowy St. Horecki (z Tyńca); ma on cały nabój śrutu w lewem ramieniu. Stan chorego jest groźny, lecz nie beznadziejny.

— **Miedzynarodowy Związek Myśliwych.** — Jeszcze w roku 1907 powstała w Paryżu stała komisja międzynarodowego kongresu łowieckiego. Urzędowała ona z dobrym skutkiem do czasu wybuchu wojny światowej. Obecnie wznowiono w Paryżu pertraktacje w tejże sprawie. Przedwojenna komisja stała przystąpiła ponownie do pracy we wrześniu roku bieżącego z zamiarem powołania do życia międzynarodowego związku łowieckiego. Związek będzie odbywał co 3 lata kongres w innej miejscowości. Na miejsce pierwszego kongresu w roku przyszłym proponowana jest Hiszpanja, pod protektoratem króla, który już na to się zgodził. Dotychchas zapowiedziały w Paryżu swój udział w międzynarodowym związku:. Francja, Polska, Niemcy, Hiszpanja, Włochy, Holandja, Anglja, Szwecja, Norwegja, Rosja, państwa bałkańskie, rządy Ameryki północnej i południowej, Afryki południowej, Japonja i Australja.

— **Ze stosunków łowieckich na Litwie.** — Pod Kłajpedą złowiono mewę, która była obrączkowana w Szwecji. Ptak miał tak postrzelone skrzydło prawe, że nie mógł latać. Obrączkowanie nastąpiło w Goeteburgu dnia 17 czerwca 1930 roku. Ptak był wtenczas w gnieździe pod Klatthammarswik na wschodniem wybrzeżu Gotlandzkiem.

Do „D. Jaegerz." znowu donoszą o rozmnożeniu się wilków. Pod miejscowością Babti w okolicach Kowna wilki zarżnęły już 26 owiec i poraniły kilka koni. W Bienintai widziano wilki za dnia. Najwięcej ich gnieździ się pod Rosieniami, gdzie we wsi Rinkaciai stado wilków porwało w nocy siedem owiec. Pod Biduklai w pobliżu linji kolejowej Tylża — Ryga 4 wilki porwały z pastwiska 20 owiec.

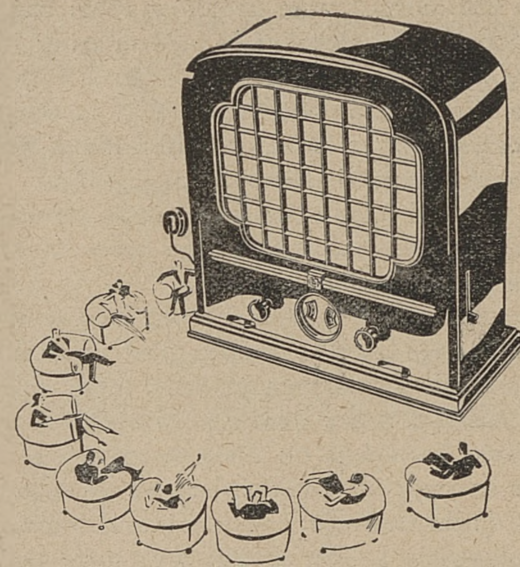
Wiadomości handlowe.

— **Ze Związku hodowców zwierząt futerkowych.** — W miarę wzrostu zainteresowania hodowlą zwierząt futerkowych w Polsce, zauważyć się daje wzmożona działalność przedstawicieli farm zagranicznych, oferujących materjał rozpłodowy. Związek zwraca przeto uwagę początkujących hodowców oraz osób interesujących się hodowlą zwierząt futerkowych, iż posiadamy w kraju kilkanaście hodowli, które mają dobry, zaaklimatyzowany materjał rozpłodowy i dlatego należy wpierw zapoznać się z temi hodowlami. Nie należy zatem lekkomyślnie nabywać drogiego mate-

rjału zagranicą, nie znając jego wartości i nie widząc go przed kupnem.

W drugiej połowie listopada, kwalifikowani eksperci przeprowadzą na fermach członków Związku licencję materjału hodowlanego, określając w ten sposób zalety i wartość tegoż.

— **Futra polskie na wystawie „Ipa".** — Imponująco wprost wypadła wystawa naszych wyrobów z tej dziedziny na Międzynarodowej Wystawie Przemysłu Futrzanego „Ipa" w Lipsku. Eksponaty składały się nietylko z surowców i skór wyprawionych, lecz wystawiono również okazy krajowych hodowli zwierząt futerkowych i farbiarni, pozatem gotowe wyroby kuśnierskie i konfekcyjne. Ostatnie wzbudziły powszechne zainteresowanie ze względu na wytworne modele, staranne wykonanie i gust. Współpraca z „Ipą" była dla polskiego przemysłu futrzanego bardzo pouczającą, ponieważ na międzynarodowej tej wystawie w Lipsku przedstawione były skóry futerkowe wszelkiego rodzaju zwierząt, bądź to krajów północnych, bądź tropikalnych. Wystawa zapoznawała zwiedzających z wyzyskiwaniem surowca i jego przetwórstwem, a przy pomocy panoramy przedstawiono sposób życia poszczególnych zwierząt oraz ich łowienia. Znajdowały się tam również działy ze zwierzętami żywemi, jak i działy z eksponatami dermoplastycznymi. Stosunek handlowy w tej branży między Polską a Niemcami posunął się naprzód tak, że ślady długoletniej wojny celnej przez działalność fachowej organizacji polskich przemysłowców futrzanych będą w niedługim czasie niezawodnie zatarte.



PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł.
Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.**
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**



OGŁOSZENIA DROBNE.

1. **MAŁOPOLSKA HODOWLA ZWIERZYNY** w Łukawicy, p. Stryj, poleca wszelkie gatunki żywej zwierzyny, dla odświeżania krwi.

2. **TYLKO** przez sprowadzanie żywej zwierzyny uzyska się zwiększenie rezultatów polowań. Sprowadzajcie więc żywą zwierzynę krajową.

3. **NAJTAŃSZEM** źródłem zakupu dla celów rozpłodowych jest Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

4. **MYŚLIWI**, którzy dbają o swoje łowiska, zaopatrują się w żywą zwierzynę w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

5. **POLSCY** Myśliwi kupują żywą zwierzynę tylko krajowego pochodzenia w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

6. **ABY** wyprzeć towar zagraniczny, kupujcie zające i kuropatwy w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

7. **KOMU** zależy na dobrym zwierzostanie, ten zaopatruje się w zające w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

8. **MAŁOPOLSKA** Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, poczta Stryj, jest prowadzona najbardziej fachowo i dlatego prawdziwi znawcy hodowli zwierzyny zwracają się do niej, a nie do innych firm.

9. **PRZEZ** dobór pierwszorzędnego personelu i przez dużą wiedzę fachową, dajemy gwarancję najlepszej dostawy. Małopolska Hodowla Zwierzyny, p. Stryj.

10. **RADZIMY** sprowadzać żywą zwierzynę jaknajwcześniej, jeszcze przed zimą, bo jest wtenczas tańsza i daje najlepsze rezultaty.

11. **KUROPATWY** najlepsze i najtańsze dostarcza Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, poczta Stryj.

12. **BAŻANTY** Torquatusy zdrowe i ładne sprzedaje po cenach niskich Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy, p. Stryj.

13. **ZAJĄCE** leśne i polne pierwszorzędnej jakości do dostania tylko w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

14. **PROSIMY** nie zwlekać z zamawianiem zwierzyny w Małopolskiej Hodowli Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

15. **PROSIMY** żądać cenników na żywą zwierzynę. Adres: Małopolska Hodowla Zwierzyny, Łukawica, poczta Stryj.

Charty w doskonałej formie pochodzenie wybitne 3 do sprzedania Wiadomości udziela rotmistrz Wróblewski 20 szwadron KOP Januliszki poczta Nowoświęciany.

Dubeltówki angielskie Midland eżektorówki, specjalnie borowane dla osiągnięcia dalekiego strzału, zł. 880.— Wysyłka pocztą. Skład Broni Engelhardta. Włocławek.

Futra damskie gotowe, oraz zamówienia — zamiana — przeróbki najtaniej, dogodne warunki w Pracowni Krawiecko-Kuśnierskiej Br. Unkiewicz, Warszawa. Hoża 54.

Kupię dwie fretki do polowania na króliki. Zgłoszenia piśmienne z podaniem ceny, proszę przysłać pod adresem: Jan Czarnowski, Rossocha, pow. Rawa Mazowiecka.

Leśniczy, poznańczyk lat 29 żonaty z kilkuletnią praktyką, dobrze obeznany na wyróbce drzewa, prowadzeniu szkółek (z pochwałami) sadzeniu kultury, dobry tępiciel kłusowników, oraz szkodników leśnych, zamiłowany hodowca zwierzyny, władam kilkoma językami, obecnie na samodzielnej posadzie. Chcę zmienić posadę od 1. IV. lub 1. VII. 1931 roku. Łaskawe zgłoszenia przyjmie Adm. „Łowca Polskiego" pod „Leśniczy".

Poszukuje posady od 1 stycznia jako **praktykant pomocnik leśny** lat 20 z dwu letnią praktyką, energiczny i obowiązkowy. Ostatnio praktykuje wzorowo prowadzonym lesie 10 tysięcy morgowem. Adres St. Tomaszewski Czernica Leśnictwo Kurozwęki poczta Staszów woj. Kieleckie.

Żywe bażanty, kuropatwy, zające, dzikie króliki, **nasiona i rośliny** pastewne, dla zwierzyny poleca po umiarkowanych cenach. **Nadleśnictwo Babki,** poczta Krzesiny. Wielkopolska.

Żywe kuropatwy, bażanty i zające w większej ilości są na sprzedaż w Instytucie Łowiectwa, Warszawa, Nowy-Świat 35.

Żywe kuropatwy, polne oraz leśne zające, bażanty, sarny, jelenie, muflony, dzikie króliki, cietrzewie, głuszce, bażanty królewskie, świstaki, puhacze do łowów i t. p. w najlepszej jakości dostarcza R. NERLICH, skład broni i amunicji Bielsko-Śląsk.

POLOWANIE.

Majątek Rudniki pow. Tureckiego, poczta Pęczniew, odda polowanie na obszarze dworskim 3000 morgów, za cenę zł. 6000 rocznie.

Zwierzostan bardzo dobry: kaczki, słomki, kury, zające, lisy, rogacze, cietrzewie, bażanty, bekasy.

Dojazd samochodem, lub kol. do stacji Zduńska Wola.







Nagrodzona Licznemi Najwyższemi Złotemi odznaczeniami na Powszechnej Wystawie Krajowej, oraz medal złoty Wilno, 1889 r.

PRACOWNIA

J. BORUTTA

Wypychanie ptaków i zwierząt, oprawa rogów, wyrób dywanów, wyprawa skór z włosem, oraz bez włosów.

WARSZAWA. Chmielna 35 m. 19. telefon 657-52.

Zwierzynę, ptactwo dzikie, drób

Zakupują w każdej ilości po najlepszych cenach rynkowych

BRACIA PAKULSCY

Warszawa, Centrala Bracka 22

Skrót telegraficzny „Brapakul"

Przy zakupie win naturalnych, gronowych, które posiadamy w wielkim wyborze, poczynając od zł. 3,75 za butelkę, dla JWP. Ziemian ustępujemy 10 procent rabatu

P. P. MYŚLIWI!

żądajcie we wszystkich składach broni

krajowy bezdymny proch „Sokół"

Państwowej Wytwórni Prochu
w Zagożdżonie
nieustępujący najlepszym
prochom zagranicznym oraz

znakomite naboje śrutowe „Sokół"

Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

albo

Warszawskiej Fabryki Amunicji

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.